WILBUR

SMITH

Okrutny krąg

Obudził się, ale nie poruszył się ani nie otworzył oczu. Leżał przez chwilę, analizując sytuację, szukając zagrożeń, pozwalając, by do głosu doszedł uśpiony instynkt wojownika. Po chwili wyczuł delikatną woń jej perfum i usłyszał, jak oddycha — cicho i regularnie niczym fala przyboju zamierająca na odległej plaży. Wszystko było w porządku, więc uśmiechnął się i otworzył oczy. Ostrożnie przekręcił głowę, żeby jej nie obudzić.

Promienie porannego słońca odnalazły szparę w zasłonach i przeniknęły do pokoju, kładąc na suficie pasemko podobne od kutego złota. Leżała na plecach. Jej piękna twarz była spokojna. We śnie zrzuciła kołdrę. Była naga. Złociste włosy pokrywające jej łono były nieco ciemniejsze od kosmyków okalających twarz. Była w ostatnim miesiącu ciąży i jej brzuch powiększył się niemal dwukrotnie. Przesunął wzrokiem po lśniącej skórze napiętej przez to, co kryło się w środku. Nagle dostrzegł niewielki ruch, jakby dziecko się poruszyło. Oddech zamarł mu w piersi. Przytłoczył go ogrom miłości, którą darzył oboje — swoją kobietę i swoje dziecko.

— Przestań się gapić na ten wielki tłusty brzuch i daj mi całusa — powiedziała, nie otwierając oczu.

Zaśmiał się i pochylił nad nią. Zarzuciła mu ręce na szyję, a kiedy ich wargi się rozdzieliły, poczuł jej słodki oddech. Po chwili szepnęła w jego otwarte usta:

— Nie możesz utrzymać tego potwora na uwięzi? — Dotknęła jego krocza. — Powinien wiedzieć, że w tej chwili nie ma dla niego miejsca w gospodzie.

— Jest beznadziejnie głupi — odrzekł. — Choć nie przypominam sobie, żebyś kiedykolwiek pomogła mi utrzymać go na wodzy. Puść mnie, ty bezwstydnico!

— Poczekaj jeszcze kilka tygodni, Hectorze Crossie, a zobaczysz prawdziwy brak wstydu — ostrzegła. — Zadzwoń do kuchni, żeby przynieśli nam kawę.

Hector wstał z łóżka i rozsunął zasłony. Sypialnię zalały promienie słońca.

— W stawie przy młynie są łabędzie! — wykrzyknął.

Usiadła na łóżku, podtrzymując brzuch obiema rękami. Podszedł do niej i pomógł wstać. Sięgnęła po leżący na krześle niebieski satynowy szlafrok i narzuciła go, idąc do panoramicznego okna.

— Jestem taka niezgrabna! — poskarżyła się, zawiązując pasek.

Stanął za nią, przytulił się i delikatnie położył ręce na jej brzuchu.

— Znowu kopnął — szepnął, po czym chwycił zębami jej ucho i delikatnie ugryzł.

— Mnie to mówisz? Czuję się jak nadmuchana piłka. — Sięgnęła za siebie i lekko klepnęła go w policzek. — Przestań. Dostaję od tego gęsiej skórki.

W milczeniu obserwowali ptaki. Obok łabędzia i łabędzicy, które lśniły bielą w promieniach porannego słońca, pływały trzy brudnoszare łabędziątka. Łabędź zanurzył długą szyję w zielonej wodzie, skubiąc wodną roślinność porastającą dno sadzawki.

— Piękne, prawda? — spytał Hector.

— Właśnie za to uwielbiam Anglię — szepnęła Hazel. — Za cudowne widoki. Powinniśmy poprosić jakiegoś znanego artystę, żeby to namalował.

Ponad kamiennym jazem do przejrzystego stawu wpływała rzeka. Woda była tak czysta, że w trzymetrowej głębinie można było dostrzec cień ogromnego pstrąga spoczywającego na żwirowym dnie. Na brzegu rosły wierzby, muskające powierzchnię wody gałęziami przypominającymi palce. Łąkę rozciągającą się za stawem porastała bujna trawa, a pasące się na niej owce były tak białe jak łabędzie.

— To idealne miejsce do wychowania naszej małej dziewczynki. Właśnie dlatego kupiłam Brandon Hall. — Westchnęła z zadowoleniem.

— Tak często to powtarzasz. Nie mam pojęcia, skąd masz pewność, że to dziewczynka. — Pogładził pieszczotliwie jej brzuch. — Nie chcesz poznać płci dziecka? Wolisz zgadywać?

— Ja nie zgaduję, ja wiem — odpowiedziała z uśmiechem, kładąc na jego dużych brązowych rękach swoje białe smukłe dłonie.

— Moglibyśmy poprosić Alana, gdy rano dotrzemy do Londynu — zasugerował, mając na myśli Alana Donnovana, jej ginekologa.

— Strasznie marudzisz. Nie waż się wspomnieć o tym

Alanowi. Zepsujesz mi przyjemność. Włóż szlafrok. Nie chcę, żebyś przestraszył biedną Mary, kiedy przyniesie kawę.

Po chwili usłyszeli ciche pukanie do drzwi.

— Wejść! — krzyknął Hector.

Na progu stanęła pokojówka z tacą z kawą.

— Dzień dobry państwu! Jak się pani miewa, pani Cross? Jak tam dziecko? — zapytała radośnie z irlandzkim akcentem, stawiając tacę na stole.

— Wszystko dobrze, Mary. Czyżbym zauważyła ciasteczka na tacy? — zdziwiła się Hazel.

— Tylko trzy. Bardzo małe.

— Zabierz je, proszę.

— Dwa są dla pana, jedno dla pani. Zbożowe. Bez cukru — zachęcała Mary.

— Bądź tak dobra, Mary, ustąp mi i je zabierz. Proszę.

— Biedna kruszynka umiera z głodu — mruknęła Mary, ale wzięła talerzyk z ciasteczkami i wymaszerowała z sypialni.

Hazel usiadła na kanapie i nalała do kubka kawę tak czarą i mocną, że jej aromat wypełnił cały pokój.

— Boże! Ale zapach! — Westchnęła tęsknie, podając kawę Hectorowi. Później nalała do porcelanowej filiżanki ciepłe odtłuszczone mleko. — Fu! — prychnęła z niesmakiem, kiedy go skosztowała, ale wypiła posłusznie, jakby to było lekarstwo. — Co zamierzasz robić, kiedy będę u Alana? Badanie zajmie kilka godzin. On jest bardzo dokładny.

— Muszę zawieźć śrutówki do Paula Robertsa, żeby je przechował. Później pojadę do krawca na przymiarkę garnituru.

— Chyba nie zamierzasz jeździć po Londynie moim pięknym ferrari? W porannym tłoku? Obijesz go jak rollsa.

— Nigdy mi tego nie zapomnisz?! — Wyrzucił ręce w górę, udając, że jest wściekły. — Głupia baba wjechała we mnie na czerwonym świetle!

— Prowadzisz jak wariat, Cross, i dobrze o tym wiesz.

— Zgoda. Wezmę taksówkę i załatwię sprawunki — obiecał. — Nie zamierzam wyglądać jak piłkarz w jednej z twoich czaderskich fur. Poza tym mam nowiutkiego range rovera. Wczoraj zadzwonili z salonu sieci Stratstone i powiedzieli, że wóz jest gotowy. Jeśli będziesz grzeczną dziewczynką, w co nikt nie wątpi, zawiozę cię na lunch.

— Na lunch? Dokąd? — zainteresowała się.

— Sam nie wiem, dlaczego zawracam sobie głowę takimi głupstwami. Przecież sałatkę można dostać w każdym lokalu. Zarezerwowałem stolik w restauracji Alfred's Club.

— Teraz wiem, że naprawdę mnie kochasz!

— Radzę ci w to uwierzyć, chudzielcu!

— Gratuluję wyboru! Gratuluję! Wyrazy uznania! — odrzekła, posyłając mu błogi uśmiech.

Czerwone ferrari coupé Hazel stało zaparkowane przed frontowymi drzwiami. Wóz lśnił w promieniach słońca jak ogromny rubin. Szofer, Robert, wspaniale wypolerował karoserię. Ferrari było jego ulubionym wozem spośród kilku samochodów zaparkowanych w podziemnym garażu. Hector podał Hazel ramię, pomógł zejść po schodach, a następnie usadowić się w ferrari. Kiedy wcisnęła brzuch za kierownicę, pomajstrował za plecami żony, regulując oparcie i układając pas bezpieczeństwa.

— Jesteś pewna, że nie chcesz, żebym prowadził? — spytał z troską.

— Wykluczone! — odrzekła. — Nie ma mowy! Słyszałam, co powiedziałeś o tamtej kobiecie. — Poklepała kierownicę. — Wsiadaj. Jedziemy.

Autostrada biegła w odległości około kilometra od posiadłości, ale dojazd do niej był utwardzony. Z zakrętu przed mostem na rzece Test rozciągał się piękny widok na rezydencję. Hazel stanęła na chwilę, bo rzadko potrafiła oprzeć się pokusie spojrzenia z dumą na to, co skromnie nazywała „najwspanialszym domem w stylu georgiańskim, jaki kiedykolwiek zbudowano".

Brandon Hall został wzniesiony przez sir Williama Chambersa dla hrabiego Brandona w 1752 roku. Ten sam architekt zaprojektował Somerset House przy Strandzie. Gdy Hazel kupiła Brandon Hall, był zaniedbany i popadał w ruinę. Kiedy Hector myślał o tym, ile pieniędzy trzeba było wydać, żeby doprowadzić go do obecnego stanu, z trudem opanowywał dreszcze. Mimo to nigdy nie zaprzeczał, że ta budowla o eleganckich i idealnie wyważonych proporcjach jest bardzo piękna. Rok temu Hazel zajęła siódme miejsce na liście najbogatszych kobiet świata opublikowanej przez magazyn „Forbes", więc mogła sobie pozwolić na taki dom.

Na Boga, która kobieta przy zdrowych zmysłach potrzebuje szesnastu sypialni? Ale co tam koszty, skoro łowienie ryb w rzece jest takie wspaniałe! Warte każdego dolara, pocieszał się.

— Jedźmy, kochanie — powiedział. — Będziesz mogła podziwiać widoki, kiedy wrócimy. Przestań się gapić, bo spóźnimy się do Alana.

— Przyjmuję wyzwanie — odrzekła Hazel słodko i dodała gazu, zostawiając czarne ślady opon na asfalcie i siny obłok spalin unoszący się w powietrzu.

Cofając zgrabnie na podziemny parking pod budynkiem przy Harley Street, z którego Alan Donnovan zabrał wcześniej swój samochód, aby zrobić miejsce dla jej ferrari, rzuciła okiem na zegarek.

— Godzina czterdzieści osiem minut! To chyba mój rekord. Do umówionej wizyty pozostał kwadrans. Czy teraz odszczekasz swoją drwiącą uwagę, mądralo?

— Któregoś dnia wpadniesz na radar i będziesz musiała oddać prawko, kochanie.

— Mam amerykańskie prawo jazdy, ci uroczy brytyjscy policjanci nie mogą go tknąć.

Hector odprowadził Hazel do gabinetu Alana. Słysząc jej głos, lekarz wyszedł z pokoju, żeby ją przywitać. Był to rzadki wyraz szacunku zarezerwowany dla członków rodzin królewskich. Stanął w drzwiach, podziwiając jej wygląd. Luźna ciążowa sukienka z Sea Island, z miękkiej bawełny, została zaprojektowana specjalnie dla niej. Oczy Hazel błyszczały, a skóra lśniła. Alan dotknął wargami jej dłoni.

— Gdyby wszyscy moi pacjenci cieszyli się takim doskonałym zdrowiem, byłbym bez pracy — rzekł.

— Jak długo ją zatrzymasz, Alanie? — zapytał Hector, wymieniając uścisk dłoni z lekarzem.

— Wiem, dlaczego chcesz ją jak najszybciej odzyskać.

Frywolne żarty nie były w stylu Alana, więc Hector zaśmiał się i powtórzył pytanie:

— Kiedy?

— Chcę zrobić kilka badań i skonsultować się ze współpracownikami. Byłbyś łaskaw dać mi dwie i pół godziny, Hectorze? — Lekarz ujął Hazel za ramię i zaprowadził do gabinetu. Hector patrzył, jak zamykają się za nimi drzwi.

Chciał iść za żoną, przytłoczony nagłym przeczuciem nadciągającej katastrofy, jakiego rzadko dotąd doświadczał. Pragnął wyprowadzić ją z gabinetu i przytulać bez końca. Potrzebował dłuższej chwili, aby się opanować.

Nie bądź cholernym idiotą! Weź się w garść, Cross! — pomyślał, odwrócił się i skręcił w korytarz prowadzący do wind.

Recepcjonistka Alana Donnovana obserwowała go obojętnym wzrokiem. Była ładną Brytyjką afrykańskiego pochodzenia, o wielkich, błyszczących, ciemnych oczach i zgrabnej figurze ukrytej pod białym fartuchem. Nazywała się Victoria Vusamazulu i miała dwadzieścia siedem lat. Poczekała, aż przyjedzie winda, a kiedy za Hectorem zamknęły się drzwi, wyjęła z kieszeni komórkę. Wybrała numer z listy kontaktów, na której figurował pod „On". Odebrał po drugim sygnale.

— Cześć! To ty, Aleutianie? — zapytała.

— Powiedziałem ci, żebyś nie używała imion, dziwko!

Zadrżała. Był taki władczy. Inny od mężczyzn, których znała. Jej dłoń instynktownie powędrowała w kierunku lewej piersi. Była posiniaczona i obolała po laniu, jakie spuścił jej ostatniej nocy. Potarła ją, czując, że brodawka twardnieje.

— Przepraszam... zapomniałam — rzuciła ochrypłym głosem.

— Nie zapomnij wykasować tej rozmowy, kiedy skończymy. Mów! Przyjechała?

— Tak, jest tutaj, ale jej mąż wyszedł. Powiedział lekarzowi, że wróci o trzynastej trzydzieści.

— Doskonale! — Na linii zapadła cisza.

Dziewczyna odsunęła aparat od ucha i spojrzała na niego. Oddychała ciężko. Myślała o nim. O tym, jaki był twardy i gruby, gdy się w niej poruszał. Spojrzała w dół, czując, jak fala ciepła rozlewa się z krocza na uda.

— Gorąca jak napalona, mała, sprośna dziwka — wyszeptała. Właśnie tak ją nazwał ostatniej nocy. Pomyślała, że doktor Donnovan nie będzie jej potrzebował, bo zajmuje się tą Cross. Wyszła z recepcji i ruszyła korytarzem do toalety. Zamknęła się w kabinie, podciągnęła spódniczkę i zsunęła majtki do kostek. Usiadła na desce, rozłożyła nogi i włożyła między nie rękę. Chciała, żeby to trwało dłużej, ale gdy dotknęła tego miejsca, nie mogła nad sobą zapanować. Dyszała i drżała z podniecenia.

Hector wrócił dwie godziny później i usiadł w skórzanym fotelu w poczekalni naprzeciwko gabinetu Alana. Sięgnął po „Financial Timesa" leżącego na stoliku i otworzył na raportach FTSE*. Nawet nie spojrzał na interkom dzwoniący na biurku recepcjonistki. Dziewczyna szepnęła coś cicho do mikrofonu i odłożyła słuchawkę.

— Panie Cross! — zawołała do niego. — Doktor Donnovan chciałby zamienić z panem słówko. Byłby pan łaskaw wejść do jego gabinetu?

Hector odłożył dziennik i zerwał się z fotela. Znów poczuł nagłe ukłucie niepokoju. Lata doświadczeń nauczyły go ufać instynktowi. Jakie ponure wieści ma dla niego Alan? Przeszedł

---

* FTSE — Financial Times Stock Exchange, potocznie *footsie* — indeks cen akcji stu głównych firm notowanych na londyńskiej giełdzie.

szybkim krokiem przez poczekalnię i zapukał do drzwi. Usłyszał stłumiony głos lekarza zapraszający go do środka. Ściany gabinetu pokryte były dębowymi panelami, a na półkach stały rzędy książek medycznych w skórzanych oprawach. Alan siedział za potężnym starym biurkiem, a Hazel naprzeciwko niego. Kiedy Hector wszedł do pokoju, wstała i podeszła, żeby go przywitać. Promienny uśmiech nie potwierdził jego przeczucia nadciągającej katastrofy. Hector przytulił żonę.

— Wszystko w porządku? — zapytał i spojrzał na Alana ponad jasnowłosą głową Hazel.

— Wszystko gra! Morze jest spokojne i wieją sprzyjające wiatry! — zapewnił go lekarz. — Siadajcie. Siadajcie oboje.

Usiedli obok siebie i spojrzeli na niego z uwagą. Ginekolog zdjął okulary i wyczyścił je kawałkiem irchy.

— Wal śmiało! — zachęcił go Hector.

— Dziecko jest zdrowe, ale Hazel nie jest już młoda.

— Jak żadne z nas — zgodził się Hector. — Miło, że o tym wspomniałeś, Alanie.

— Dziecko jest gotowe do porodu, lecz Hazel może potrzebować niewielkiej pomocy.

— Cesarskie cięcie? — spytała zaniepokojona.

— Nie, skądże! Nie chodzi o tak skrajne rozwiązanie. Miałem na myśli wywołanie porodu.

— Mógłbyś nam to wyjaśnić, Alanie? — poprosił Hector.

— Hazel jest w czterdziestym tygodniu ciąży. Pod koniec tygodnia będzie gotowa do porodu. Oboje zaszyliście się w największej dziczy hrabstwa Hampshire. Ile czasu zajmuje wam dotarcie do Londynu?

— Dwie i pół godziny, jeśli szczęście dopisze — odparł

Hector. — Choć znam kierowców o ciężkiej nodze, którzy pokonują ten dystans w mniej niż dwie godziny.

Hazel spojrzała na niego z kwaśną miną.

— Chcę, żebyście niezwłocznie przeprowadzili się do waszego domu w Belgravii — powiedział Alan, który kilka razy gościł u nich na obiedzie. — W ten czwartek zamierzam przyjąć Hazel na prywatny oddział szpitala położniczego przy Great Portland. To jedna z najlepszych placówek w kraju. W razie czego będziecie na miejscu w ciągu piętnastu minut, a jeśli do piątku nic się nie wydarzy, zrobię Hazel mały zastrzyk i wszystko pójdzie jak z płatka, jak to się mówi.

Hector odwrócił się do żony.

— Co o tym sądzisz, kochanie?

— Nie mam nic przeciwko temu. Jeśli o mnie chodzi, im szybciej to zrobimy, tym lepiej. W Londynie wszystko jest gotowe na nasz przyjazd. Muszę tylko zabrać parę rzeczy, na przykład książkę, którą czytam. Możemy się przenieść do miasta choćby jutro.

— Znakomicie. — Alan wstał energicznie zza biurka. — Zatem widzimy się najpóźniej w piątek.

Hazel przeszła przez poczekalnię, zatrzymała się przed biurkiem recepcjonistki i zaczęła szukać czegoś w torebce. Po chwili wyjęła zapakowaną buteleczkę perfum Chanel i postawiła przed dziewczyną.

— To małe podziękowanie dla ciebie, Victorio. Byłaś taka urocza!

— Jest pani bardzo uprzejma, pani Cross. To nie było potrzebne!

Kiedy znaleźli się w windzie, Hazel zapytała:

— Zabrałeś swojego range rovera od Stratstone'a?

— Stoi zaparkowany po drugiej stronie ulicy. Zawiozę cię na lunch, a później odwiozę, żebyś mogła zabrać tę swoją starą zardzewiałą brykę.

Dała mu szturchańca i wyszła z budynku. Podał jej ramię i przeszli na drugą stronę Harley Street. Kierowcy taksówek, widząc piękną, brzemienną kobietę, zatrzymywali się gwałtownie. Jeden z nich wychylił się przez okno z szerokim uśmiechem. Dał jej znak, żeby przeszła przed jego taryfą, i zawołał:

— Życzę szczęścia, kochaniutka! Założę się, że to chłopiec!

Hazel pomachała mu wesoło.

— Dam ci znać, jak się urodzi!

Żadne nie zauważyło motocykla zaparkowanego na miejscu dla samochodów dostawczych sto metrów dalej. Kierowca i siedzący na tylnym siodełku pasażer mieli rękawiczki i kaski z przyciemnianymi osłonami z pleksiglasu, które zakrywały im twarze. Kiedy Hazel i Hector dotarli do range rovera, motocyklista przekręcił kluczyk w stacyjce i potężna japońska maszyna obudziła się do życia. Pasażer na siodełku oparł nogi na podpórkach, gotowy do jazdy. Hector otworzył drzwi po stronie pasażera i pomógł Hazel wsiąść, po czym szybko obszedł samochód. Wskoczył za kierownicę, uruchomił silnik i włączył się do ruchu. Motocyklista zaczekał, aż między nimi znajdzie się pięć pojazdów, i ruszył za roverem. Utrzymywał dystans i starał się nie rzucać w oczy. Crossowie objechali Marble Arch i skręcili w kierunku Berkeley Square. Kiedy range rover stanął przed domem przy Davies Street oznaczonym numerem dwa, motocyklista przejechał obok i skręcił w lewo na najbliższych światłach. Objechał kwartał i zatrzymał

się w miejscu, z którego rozciągał się dobry widok na front lokalu Alfred's Club. Zauważył, że portier przestawił wóz nieco dalej.

Menedżer restauracji, Mario, czekał w drzwiach, żeby ich powitać.

— Witam panią i pana Crossów — powiedział, promieniejąc. — Dawno państwa nie widziałem.

— Co ty opowiadasz?! — wykrzyknął Hector. — Byliśmy tu dziesięć dni temu z lordem Renwickiem.

— To stanowczo zbyt dawno, proszę pana — odrzekł Mario, prowadząc ich do ulubionego stolika.

Kiedy szli przez salę, w restauracji zapadła cisza. Podążyły za nimi wszystkie spojrzenia, bo każdy z gości wiedział, kim są. Hazel wyglądała wspaniale, nawet w zaawansowanej ciąży. Prawie przezroczysta jedwabna sukienka wydymała się wokół niej niczym różany obłok, a torebka ze skóry krokodyla była tak piękna, że wszystkie kobiety na sali miały ochotę popełnić samobójstwo.

Mario odsunął jej krzesło i rzekł:

— Czy mogę zaproponować pani sałatkę grejpfrutową, a po niej grillowane małże świętego Jakuba? Dla pana, panie Cross, befsztyk tatarski, jak zwykle bardzo pikantny, a po nim homara w sosie chardonnay?

— Jak zawsze, Mario. — Hector skinął z powagą głową. — Podaj pani Cross butelkę wody Perrier w kubełku lodu, a mnie butelkę Vosne-Romanée Aux Malconsorts rocznik tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty trzeci, z moich prywatnych zapasów.

— Już pozwoliłem sobie to zrobić, panie Cross. Piętnaście minut temu sprawdziłem temperaturę butelki. Wynosiła dokładnie szesnaście stopni Celsjusza. Czy mam kazać kelnerowi ją otworzyć?

— Dziękuję, Mario. Wiem, że zawsze mogę na tobie polegać.

— Staramy się robić wszystko, żeby państwa zadowolić.

Kiedy menedżer się oddalił, Hazel pochyliła się nad stołem i położyła dłoń na przedramieniu męża.

— Uwielbiam pańskie małe rytuały, panie Cross. Nie wiem dlaczego, ale dodają mi otuchy. — Uśmiechnęła się. — Cayla uważała, że są zabawne. Pamiętasz, jak się śmialiśmy, kiedy cię naśladowała?

— Jaka matka, taka córka — odrzekł Hector, uśmiechając się do niej.

Jakiś czas temu Hazel nie była w stanie głośno wymówić imienia „Cayla". Jej córka została brutalnie zamordowana, a zabójcy okaleczyli zwłoki. Kiedy Hazel dowiedziała się, że nosi dziecko Hectora, było to dla niej prawdziwym oczyszczeniem. Wymówiła imię córki, szlochając w jego ramionach.

— Cayla! Urodzę kolejną maleńką Caylę. — Rany się zagoiły; teraz mogła już swobodnie rozmawiać o swoim nieżyjącym dziecku. Gdy kelner przyniósł perriera, upiła łyk i zapytała: — Myślisz, że Catherine Cayla Cross będzie miała jasne włosy i niebieskie oczy, jak jej starsza siostra? — Już wybrała imię dziecka w hołdzie dla nieżyjącej córki.

— Myślę, że dziecko będzie miało na brodzie czarną szczecinę jak jego ojciec — odrzekł przekornie Hector. On też kochał zamordowaną dziewczynę. Cayla była magnesem, który wbrew wszystkiemu przyciągnął ich do siebie. Hector pracował

jako szef ochrony koncernu Bannock Oil, kiedy Hazel odziedziczyła firmę po śmierci męża.

Początkowo nie znosiła Crossa, chociaż zatrudnił go jej ukochany zmarły małżonek. Doskonale znała historię i reputację Hectora; czuła odrazę do brutalnych metod, które czasami stosował, aby chronić majątek firmy i jej pracowników. Był żołnierzem i walczył jak żołnierz. Nie okazywał litości wrogom. Na dodatek stanowczo sprzeciwiał się delikatniejszym, kobiecym metodom Hazel. Podczas ich pierwszego spotkania ostrzegła, że zwolni go pod najdrobniejszym pretekstem.

W wygodnym i dostatnim życiu Hazel nieoczekiwanie zapanował chaos. Ukochana córka, jedyna pociecha w jej samotnym życiu, została porwana przez afrykańskich piratów. Hazel użyła swoich pieniędzy i wpływów w kręgach władzy, żeby ją ocalić, ale nikt nie mógł jej pomóc, nawet prezydent Stanów Zjednoczonych. Nie potrafiono ustalić miejsca, w którym przetrzymywano Caylę. Hazel, będąc u kresu sił, zapomniała o dumie i zwróciła się do okrutnego, brutalnego i bezlitosnego żołnierza, którego nienawidziła i którym pogardzała. Do Hectora Crossa.

Wytropił kryjówkę porywaczy na rozległej afrykańskiej pustyni, gdzie przetrzymywali Caylę. Somalijczycy traktowali ją okrutnie. Hector wyruszył do twierdzy ze swoimi ludźmi, odbił dziewczynę i przewiózł w bezpieczne miejsce. Podczas operacji uwolnienia Cayli dowiódł Hazel, że jest uczciwym człowiekiem o wysokich standardach moralnych, któremu może zaufać. Uległa pociągowi, który tak skrzętnie tłumiła podczas ich pierwszego spotkania. Kiedy zbliżyli się do siebie, odkryła, że pod stalowym pancerzem kryje się serdeczny, wrażliwy i kochający człowiek.

Teraz spojrzała na niego i wyciągnęła rękę nad stołem, aby ująć jego dłoń.

— Kiedy siedzisz obok mnie i czuję w sobie Catherine Caylę, znowu wszystko jest doskonałe.

— I takie pozostanie — zapewnił Hector żonę, znów czując na plecach zimny dreszcz. Wiedział, że kusi los. Choć czule się do niej uśmiechał, pamiętał, że odbicie Cayli nie było końcem ich kłopotów. Fanatycy, którzy ją porwali, nie złożyli broni. Wynajęli zbirów, a ci zamordowali Caylę, a następnie wysłali Hazel jej głowę. Hector i Hazel musieli wkroczyć do akcji, aby unicestwić potwora, który zrujnował im życie.

Może tym razem to naprawdę koniec, pomyślał, przypatrując się twarzy żony, gdy mówiła o Cayli.

— Pamiętasz, jak uczyłeś ją wędkować?

— Miała naturalny talent. Wystarczyła krótka lekcja, a potrafiła rzucić muszkę na odległość czterdziestu pięciu metrów i to niezależnie od wiatru. Wiedziała instynktownie, jak znaleźć dobre miejsce.

— Pamiętasz ogromnego łososia, którego złowiliście w Norwegii?

— Tego potwora? Trzymałem ją w pasie, a on o mało nie wciągnął nas do rzeki. — Hector się roześmiał.

— Nigdy nie zapomnę dnia, w którym oświadczyła, że nie będzie marszandką. Wbrew moim planom. Powiedziała, że zostanie weterynarzem. Prawie wpadłam w depresję!

— Była nieposłuszna!

— Nieposłuszna? To ty byłeś nieposłuszny! Cały czas ją popierałeś. Oboje mnie do tego przekonaliście.

— To prawda... miała na mnie zły wpływ — przyznał Hector.